

Lernen aus der Geschichte e.V.

<http://www.lernen-aus-der-geschichte.de>

**Der folgende Text ist auf dem Webportal
<http://www.lernen-aus-der-geschichte.de> veröffentlicht.**

Das mehrsprachige Webportal publiziert fortlaufend Informationen zur historisch-politischen Bildung in Schulen, Gedenkstätten und anderen Einrichtungen zur Geschichte des 20. Jahrhunderts. Schwerpunkte bilden der Nationalsozialismus, der Zweite Weltkrieg sowie die Folgegeschichte in den Ländern Europas bis zu den politischen Umbrüchen 1989.

Dabei nimmt es Bildungsangebote in den Fokus, die einen Gegenwartsbezug der Geschichte herausstellen und bietet einen Erfahrungsaustausch über historisch-politische Bildung in Europa an.

Janina Szuta urodziła się w 1940 roku. Historię pacyfikacji Wywłoczki zna z opowiadań swojego męża Józefa Szutego oraz teściowej, którzy dobrze zapamiętali te wydarzenia.

Wczesnego ranka, 31 marca 1943 roku do Wywłoczki od strony Zwierzyńca wkroczyli Niemcy i otoczyli wieś. Chodzili od domu do domu i wyganiali przerażonych mieszkańców na drogę. Ludzie ubierali się w pośpiechu, w to, co mieli pod ręką. Ociągających się Niemcy zabijali. Taki los spotkał Teklę Zaburską i jej córkę, która nie chciała opuścić chorej matki. Obie kobiety Niemcy wyprowadzili przed chatę i zastrzelili.

W ciągu krótkiego czasu mieszkańcy wsi zebrali się na drodze ze swym majątkiem, który mieścił się w koszykach i tobołkach. Wszyscy byli zatrwożeni tym, co się dzieje. W tym czasie hitlerowcy rabowali cenniejsze rzeczy, ładowali je na ciężarówki, które odjeżdżały w stronę Zwierzyńca. Po długich 3 godzinach czekania Niemcy wydali rozkaz, by mężczyźni ustawili się w kolumnie trójkami. Chwila ta była bardzo dramatyczna, gdyż dochodziło do rozdzielania rodzin. Kobiety i dzieci płakały. Kolumna ruszyła w stronę Zwierzyńca. Po jakimś czasie Niemcy wydali rozkaz wymarszu pozostałym na miejscu kobietom i dzieciom. Podczas marszu widać było leżące w rowach ciała zabitych mężczyzn. Niektórzy rozpoznawali swoich bliskich. Gdy żandarmi wprowadzali ludzi na zwierzyniecką szosę, rozległ się jęk i krzyk, że Wywłoczka się pali.

Kobiety doprowadzono do obozu w Zwierzyńcu. Byli tam już mężczyźni. Wielu z nich próbowało ucieczki zza drutów. Niektórym się udało. Teść Janiny Szutej, Leonard Szuty, podczas próby ucieczki został zastrzelony na drutach.

Po kilku godzinach kobiety zostały wypuszczone do domów, ale na miejscu, gdzie przedtem stały budynki, widać było tylko kominy i gruzy.

Moja wieś rodzinna to Jarosławiec. Z okresu wojny najbardziej zapamiętałem obóz w Zamościu. Byliśmy tam całą rodziną, ale później odłączyli od nas tatę i słuch o nim zaginął. Pamiętam drewniane baraki. Ci, którzy wzięli ze sobą jedzenie, na piecu w kubku mogli coś ugotować. W ten sposób mogli przeżyć. Dostawaliśmy do jedzenia kromkę chleba rano i kubek zupy kartoflanej. Dziennie wynosili po kilkanaście trupów. My wzięliśmy dużo soczewicy i dzięki temu przeżyliśmy. Miałem młodszego brata. Bardzo płakał za tatą i nie chciał nic jeść. Czasami tylko pił zupę i po dwóch tygodniach zmarł. W drugim baraku był wujek. Odwiedziłem go tylko raz, potem wywieźli go do Siedlec.

W obozie były straszne warunki, nie można było nawet się umyć. Łapaliśmy wszy, zawijaliśmy je w szmatę i wywieszaliśmy za okno. Potem braliśmy szmatę do środka, patrzyliśmy, czy zmarzły, ale one dalej się ruszały. Najgorsze były ranne zbiórki. Trwały do 30 minut. Każdy przychodził zmarznięty, ponieważ była zima.

Największym problemem przy wyjeździe do domu, było wsiadanie do samochodu. Niemcy podstawili ciężarówkę z zamkniętą burtą i do tego dali stołek. Z tyłu stał Niemiec i bił prętem po plecach, żeby prędzej wsiadać. Przy wsiadaniu stołek poleciał. Ludzie deptali jedni po drugich, żeby tylko wsiąść do samochodu. Trwało to może godzinę. Potem przyszedł drugi Niemiec, tamtego wypędził. Podstawił drabinkę i każdy po kolei wsiadał. Kiedy samochód był pełny, wywozili nas na stację.

Jeszcze przed wyjazdem moja siostra uciekła, a Niemcy jej nie złapali. Poszła do wioski. Tam byli ci, którzy zajmowali nasze domy i gospodarstwa. Nazywaliśmy ich Czarnymi. Siostra poszła tam do pracy. Nie mieliśmy o niej żadnych informacji.

W obozie byłem 6 tygodni. Później wieźli nas na stację Mrozy koło Warszawy, ale wysadzili w Kałuszynie. Tam byliśmy do 1 września 1944 roku. Potem do Mrozów jechaliśmy tydzień. Każdemu na drogę dali po bułce chleba i pięć łyżek marmolady. Ten kto był głodny, zjadł wszystko na raz i umierał. Jak pociąg się zatrzymał, ludzie podawali wodę i jedzenie. Po dojechaniu na stację Mrozy, wydano dla nas przyjęcie. Dużo osób było głodnych, więc jadło wszystko po kolei. Ci ludzie szybko umierali.

Mama i rodzeństwo zostali w Kałuszynie, mnie zabrała rodzina Domińskich koło Mińska Mazowieckiego. Byłem tam rok. Przez pierwsze trzy tygodnie jadłem chleb z masłem i piłem herbatę lub mleko. Któregoś dnia podano na obiad pyzy kartoflane. Zjadłem cały talerz, a wieczorem trzeba było wezwać lekarza. Spałem potem 24 godziny.

Gdy wróciliśmy do domu, nasza chałupa była rozebrana, a na polu zasiana była wyka. Mieszkaliśmy u wujka. Idąc do pierwszej klasy liceum, miałem 133 cm wzrostu i ważyłem 17 kilogramów.

Czasy II wojny światowej to przede wszystkim ciężkie i straszne chwile. Kiedy drogą szli Niemcy, ludzie uciekali do lasu i chowali się w zbożu. Wszędzie panowała bieda i głód. Gotowaliśmy barszcz z buraków pastewnych, a buraków cukrowych używaliśmy do słodzenia kawy zbożowej.

Większość Niemców była okrutna, ale zdarzali się i tacy, którzy czasem pomogli. Pamiętam taki przypadek. Niemcy mieli za zadanie przeszukać pola i zabić ukrywających się. Pewna kobieta, która ukrywała się tam z małym dzieckiem, chciała się podnieść, aby uciec. Nadchodzący Niemiec przyduśił ją nogą i nie pozwolił jej wstać. Sam poszedł dalej. Kobieta z dzieckiem przeżyła.

W 1943 roku spacyfikowano Wywłóczkę. Niemcy wypędzili wszystkich mieszkańców. Pędzono ich drogą na wygon. Jeśli ktoś próbował uciec, został zastrzelony. Niemcy nie zwracali uwagi na to, czy był to stary, czy młody człowiek, czy też dziecko. Wiele osób rozstrzelano, wiele zamknięto w obozie w Zwierzyńcu. Jeszcze innych zabrali do Rotundy w Zamościu. Potem ludzie nie mieli gdzie mieszkać, ponieważ Niemcy spalili wieś. Część Turzyńca także była spalona i ludzie musieli mieszkać w suszarniach. Oby nigdy nie powróciły takie czasy.

Kiedy rozpoczęła się wojna, miałam 7 lat i mieszkalam w Topólczy. Niemców pamiętam, ponieważ w 1941 roku przebywali u nas w domu na kwaterze przez półtora miesiąca. Potem ruszyli na front.

Najbardziej utkwily mi w głowie wydarzenia, kiedy Niemcy przywozili bezbronnych ludzi na pastwisko. Rozkazywali im wychodzić po trzy osoby, po czym ich rozstrzeliwali. Najgorsze było to, że kazali nam na to patrzeć i grozili, że to samo może nas spotkać, jeżeli nie będziemy posłuszni. Gdy wszystkich zabili, kazali nam ich zakopać.

Niemcy zabrali nam krowę, zabili ją, ale pozwolili wziąć trochę mięsa dla siebie.

Bardzo bałam się Niemców i tego, że przyjdą i nas zabiją. Pod koniec wojny uciekliśmy przed frontem do lasu. Niemcy przegonili nas z powrotem do domów.

Każdy kto przeżył wojnę, mógł się przekonać o jej okrucieństwach. Jednak wspomnienia mojej babci są szczególnie wstrząsające, gdyż była naocznym świadkiem zabójstwa całej rodziny.

Babcia Leokadia mieszkała z rodzicami i dwoma braćmi, Antonim i Mieczysławem, koło Stanisławowa, na polach zwanych Kozia Woda. Jej rodzice prowadzili tam gospodarstwo rolne. W niedzielę 11 lutego 1940 roku było bardzo mroźno i śnieżnie. Wieczorem ktoś zapukał do drzwi.

Pradziadek otworzył. W drzwiach stał mężczyzna w wojskowym ubraniu, twierdził, że ucieka przed Niemcami. Chciał przenocować. Pradziadek powiedział, że przyniesie mu siennik napchany słomą. Mężczyzna wyszedł na zewnątrz... Po chwili wrócił, ale w rękach trzymał karabin. Z zimną krwią zabił pradziadka, następnie uderzył babcię karabinem. Prababcia błagała nieznanego mężczyznę, aby nie zabijał jej i dzieci. Jednak on śmiertelnie postrzelił brata babci — Mieczysława, później zabił ciocię babci — Leokadię, a następnie zastrzelił drugiego brata babci — Antoniego. Później zaczął strzelać do prababci, oddał w jej kierunku trzy strzały i prababcia padła na ziemię. Mężczyzna załadował karabin i strzelił do babci, zgasił kaganek, powiedział: „To już wszystko” i wyszedł. Babcia została ranna, kula wyszła pod pachą i nie naruszyła płuc.

Na drugi dzień sąsiedzi zorientowali się, że coś się stało. Wezwali sołtysa, który zawiózł babcię do Krasnobrodu. Tam zaopiekował się nią lekarz. Babcia miała wówczas 12 lat. Gdy została wyleczona, przygarnął ją stryjek, u którego dorastała. Po pewnym czasie tamten nieznanomy mężczyzna został zabity przez żołnierzy Armii Krajowej.

Mimo iż od tamtego wydarzenia minęło już ponad 60 lat, to za każdym razem, gdy babcia opowiada tę historię, zaczyna płakać.